

# Gdy większość oszałała

23 czerwca 2022

Nazywajcie to jak chcecie, ale chyba coraz bardziej wszyscy zaczynamy sobie zdawać sprawę z końca pewnej epoki. Duch tej epoki polegał na tym, że starano się w pewnym stopniu akceptować wielogłos w przestrzeni publicznej.

Dziś to już passé. Spod resztek liberalnej maski wyziera i szczyrzy kły stary model autorytarny, ciężący w kierunku totalitarnym, i to przy wykorzystaniu metod, o których totalitaryzmem XX wieku nawet się nie śniło.

W coraz ciaśniejszym gorsecie cenzury znalazły się wszystkie sztandarowe instytucje odchodzącego w przeszłość modelu liberalnego, zakładającego dopuszczalność wielogłosu w każdej niemal sprawie. W latach 1990. próbowano eksperymentować z ograniczeniami tylko w pewnych sferach. Wprowadzono pojęcia charakterystyczne dla poprawnościowej nowomowy, na czele z osławioną mową nienawiści (hate speech).

Ktoś może, nie bez racji, stwierdzić, że były to początki obecnego stanu, załączki działań zmierzających do całkowitego wyeliminowania wszelkiej wolności słowa, opinii i poglądów. Tak faktycznie jest. Wolność słowa albo istnieje i obejmuje całe spektrum obecnych w społeczeństwie przekonań, albo nie ma jej wcale. Dlatego w odległych już latach 1990. protesty przeciwko absurdom tzw. poprawności politycznej były w pełni uzasadnione. Co więcej, były z ducha liberalne, odwoływały się do zespołu założeń liberalizmu klasycznego, sięgającego jeszcze XIX-wiecznego rozkwitu tej doktryny. Kuriozalne było wówczas obserwowanie jak „Gazeta Wyborcza” i inne tuby rzekomej „wolności” piętnowały i linczowały publicznie ludzi łamiących owe kanony poprawności, choć z drugiej strony zachwycały się Johnem Stuartem Millem, Isaiahem Berlinem i innymi głosicielami swobody wypowiedzi.

Coraz bardziej absurdalna sieć ograniczeń tworzących ówczesny gorset poprawności politycznej doprowadziła do tego, że przyzwyczajono pokażne segmenty społeczeństw tzw. Zachodu do milczącej zgody na kolejne koncesje rozszerzające prerogatywy policji myśli występującej pod różnymi postaciami i korzystającej z coraz bardziej rozbudowanych instrumentów. Dzięki temu można było skutecznie eliminować coraz to nowe poglądy i opinie, w taki czy inny sposób nie harmonizujące z dominującym dyskursem.

Równoczesny upadek intelektualny (przepraszam za wyrażenie, ale w istocie określić można go mianem postępującej w tempie geometrycznym debilizacji), związany m.in. z kolejnymi reformami systemu oświaty, a przede wszystkim szkolnictwa wyższego, powodował, że do wykluczenia jakichś określonych poglądów z przestrzeni publicznej System potrzebował coraz mniej argumentów i coraz mniej wysublimowanych wymówek. Aż doszliśmy do poziomu, w którym wystarcza autorytatywne zadekretowanie, że jakiś kraj jest zły, zagraża pokojowi, zjada dzieci i gwałci kobiety, morduje grupy etniczne i popełnia wszelkie inne możliwe zbrodnie, by rozpętać polowanie na tych, którzy starają się spokojnie analizować działania tego kraju, ogłoszonego mianem imperium zła. Bez dowodów, faktów, przykładów. Właśnie w tym miejscu znaleźliśmy się dziś.

Powrócę tu jeszcze na chwilę do szkolnictwa wyższego. Miałem okazję obserwować jego degrengoladę, pogłębianą wprowadzeniem systemu bolońskiego, od ponad 20 lat, jako nauczyciel akademicki i wykładowca szeregu uczelni. Doskonale pamiętam, że jeszcze na przełomie lat 1990. i 2000. w grupach ćwiczeniowych studentów jako prowadzący niejednokrotnie moderowałem w istocie ożywione dyskusje żaków na tematy fundamentalne, z obszaru gorących sporów światopoglądowych i ideowych. Ci ludzie czytali różnych autorów, a część z ich lektur przekonywała ich do zajmowania określonych postaw i stanowisk, a nawet żarliwego, publicznego bronięcia przyjętego

punktu widzenia. Studencka agora mogła być w istocie załączkiem prawdziwej demokracji, uczyła spierać się w sposób cywilizowany i uargumentowany. Władze uniwersytetów i uczelni sprzyjały tej możliwości.

A dziś? „Polityczna cenzura wypowiedzi, polityczne ingerencje w proces dydaktyczny, blokowanie dyskusji, administracyjne knebłowanie ust profesorom nie tylko są sprzeczne z misją uniwersytetu, ale w bezpośredniej perspektywie szkodzą społeczeństwu” – czytamy w zainicjowanym przez francuskich uczonych liście otwartym do władz Uniwersytetu Warszawskiego w związku z nagonką niektórych środowisk politycznych na jednego z najbardziej utytułowanych uczonych stołecznej uczelni, prof. Stanisława Bielenia (na zdjęciu).

Do zawieszenia wolności akademickich i swobody naukowej debaty dochodzi na jednym z flagowych polskich uniwersytetów. A gdzie podzieli się w tej sytuacji obrońcy wolności słowa, autorzy i wielbiciele „Gazety Wyborczej” z lat 1990.? Milczą? Gorzej – to właśnie oni współorganizują i ochoczo biorą udział w nagonce na uczonego, która jest w istocie nie sprawą prof. Bielenia, lecz sprawą ostatecznego aktu zniesienia obowiązywania w Polsce zasad starego świata. Witamy w nowym, wspaniałym świecie, znacznie bardziej przerażającym niż ten z powieści Aldousa Huxleya.

Autorstwo: Mateusz Piskorski

Źródło: [MyslPolska.info](http://MyslPolska.info)